



Ks. Franciszek Krzyżak CM¹

IN NOMINE DOMINI²

NIE NAM LECZ IMIENIOWI TWOJEMU PANIE DAJ CHWAŁĘ

CZ. 1

Zacząło się to na Stradomiu, gdzieś wiosną 1934 roku. Po urzędzie *curatora paupertatis* zostałem mianowany prokuratorem domowym. Byłem wtedy jeszcze diakonem. Z chwilą tej nominacji jakaś mała gwiazdka zgasła. Dlaczego? Mój brat ks. Wojciech Krzyżak, został księdzem diecezjalnym, ja natomiast pragnąłem po cichu być raczej misjonarzem, kimś w rodzaju św. Pawła Apostoła

*„...dla którego wsie
i miasta, nowe kraje,
cały świat otwarty nam
– serce spocząć mi nie daje...”*

A tu mnie mianują prokuratorem Stradomskim, czyli siedz i usługuj bliźnim.

Jesienią poprzedniego roku (1933) z mego, kursu wyświęcono księdza Brachę i posłano do Rzymu na studia. Wyświęcono wtedy również z mojego kursu ks. Kazimierza Skowyrę i ks. Juliana Janiewskiego, z tym że mają jechać niezwłocznie do Chin.

Więc tutaj po tej nominacji na prokuratora, moje pragnienie, by zobaczyć i poznać coś więcej niż Polskę zgasło. Ale dziwne są drogi Boże. Jako prokurator zabrałem się do porządkowania piwnicy winiarni. Pewnego dnia wracając z tej winiarni w roboczym ubraniu, brudny, spocony spotkałem na korytarzu wizytatora ks. Józefa

¹ **Ks. Franciszek KRZYŻAK** urodził się 18 lutego 1910 r. we wsi Zawada koło Wieliczki w rodzinie rolniczej. Miał pięciu braci i dwie siostry. Najstarszy z braci został księdzem diecezjalnym. Po szkole podstawowej w Zawadzie i Wieliczkce kontynuował naukę w Małym Seminarium Księża Misjonarzy w Krakowie, na Nowej Wsi. Następnie, po czterech latach, wstąpił do Zgromadzenia Księża Misjonarzy Święcenia kapłańskie w 1934 r. Rok później wyjechał do Chin w piątej grupie misjonarzy z Prowincji Polskiej. Do 1947 pracował w misji polskiej w Shuntehfu, a następnie w misji prowincji chińskiej (prowadzonej przez prowincję wschodnia USA) na Tajwanie do 1951 r. Po opuszczeniu Chin 1951 rozpoczął pracę w wiceprowincji polskiej w USA (obecnie prowincja Nowej Anglii) w parafii św. Stanisława Kostki na Brooklynie, Nowy Jork jako wikariusz. Od 1960 r. Do śmierci pracował jako misjonarz ludowy i rekolekcjonista w domu misyjnym w Utica, Nowy Jork. W latach 1960 - 1961 był dyrektorem grupy misyjnej tamże. Zmarł 23 marca 1983 w Utica. Pochowany na cmentarzu parafialnym św. Michała w Derby, Connecticut, USA.

² Wspomnienia z pracy misyjnej autora na podstawie niemal 4 godzinnego wywiadu, nagrywanego na taśmę magnetofonową, udzielonego redakcji miesięcznika kleryków Zgromadzenia Księża Misjonarzy - METEOR - latem 1981 r. Podczas ostatniej wizyty ks. Krzyżaka w Krakowie, na Stradomiu.



波兰在中国遣使使命

Kryskę. Gdy mnie zobaczył w takim stanie stanął, położył rękę na sercu, chrząknął, złożył dwa palce w kółko i z gestem do mnie mówi:

- Mały! Pojedzie do Chin, pojedzie!?
- Więc i ja... oszołomiony, ale powiedziałem:
- Pojedzie!
- Więc tylko przyspieszymy święcenia i mały pojedzie za księdza Juliana Janiewskiego.

A ksiądz Julian Janiewski pojechał do Brazylii, ale przed wyjazdem oddał mi całą swoją wyprawę bieliznę, którą uszyły Siostry Miłosierdzia w Chełmnie dla tych dwóch misjonarzy wyjeżdżających do Chin. I przez lata i lata moja bielizna miała monogramy J.J. – Julian Janiewski, zamiast F.K. – Franciszek Krzyżak.

W tym oszołomieniu, że się zgodziłem pojechać do Chin poszedłem wprost do kościoła i tam runąłem krzyżem. Jak długo leżałem tego nie wiem. Dość na tym, że się spóźniłem na popołudniowy wykład.

Tak jak ks. Wizytator przyrzekł, tak się stało. Przyspieszono mojemu kursowi święcenia. Zamiast pod koniec czerwca mieliśmy święcenia 5 czerwca 1934 roku. Wyświęcił nas książę metropolita arcybiskup Sapieha. Po krótkich wakacjach, które spędziłem u mojego brata, ks. Wojciecha Krzyżaka w Szczakowej, wróciłem na Stradom. Czekałem na wyjazd. Mieliśmy jechać do Chin jak najprędzej i jak najkrótszą drogą. Najkrótsza droga prowadziła przez Rosję pociągiem. Okazało się jednak, że nie jest tak łatwo zdobyć przepustkę na tranzyt przez Rosję. Czekałem na to na Stradomiu. Pewnego razu przyjechał tutaj z Bydgoszczy mój były dyrektor z Małego Seminarium ks. Ludwik Moska. Widząc, że jestem bezrobotny i chętny do pracy zabrał mnie do Bydgoszczy na swoją parafię, bo tam był proboszczem i superiorem. Pojechałem. W sam raz wtedy w Bydgoszczy, zalewano cementem kopułę kościoła. Była to tytaniczna praca. Pracowano dzień i noc. W dzień w świetle słońca, w nocy przy świetle reflektorów. I ciągle było słycać koło tego komendę w języku niemieckim. Budowniczym tego kościoła, był budowniczy Reichstagu w Berlinie.

Pod koniec jesieni, 31 października, w niedzielę misyjną, przyszedł telegram od ks. wizytatora Kryski: WRACAJ JEDZIESZ DO CHIN. Więc wróciłem na Stradom. Ale i tu nie tak łatwo przyszła wiza na przejazd przez Rosję. Czekaliśmy aż do Bożego Narodzenia. Tuż przed Bożym Narodzeniem wiza przyszła. Mieliśmy udać się w podróż w ciągu sześciu dni. Uprosilimy pozwolenie, żeby zostać na Wigilię tutaj na miejscu, u rodzin. Ja spędziłem wieczór wigilijny na Stradomiu i u rodziny, a ks. Skowyra spędził swoją Wigilię w Zakopanem u swoich sióstr, bo miał tylko siostry.

W stary rok pożegnano nas na Stradomiu słowami pieśni której nie zapomnę:

*O Polsko! Bez Ciebie nawet
w niebie mnie źle i źle będzie.*

Ale sobie tego do serca nie brałem dlatego, że ja do Chin nie zgłaszałem się dobrowolnie, mimo pragnienia wyjazdu na misje. A nie zgłaszałem się dlatego, że już o tym pragnieniu zobaczenia krajów egzotycznych przestałem myśleć. Gdy rozmawiałem z moją matką ona mi powiedziała:

– Synku. Nie ma to jak Polska. Tam są różne gady i węże. Schwyci cię taki nocą w puszczy. A jak się położysz na ziemi to cię wąż ukąsi.

To ja powiedziałem:



波兰在中国遣使使命

- To ja pójde na drzewo i prześpię się na drzewie.
- Odpowiedziała: tam są też różne gady.

Więc myślałem: matka jak matka, widocznie tu jest najlepiej. No i nie zgłaszałem się do Chin dobrowolnie. Bałem się, że gdy tam będzie źle, to tylko na siebie będę narzekał i na swoją decyzję. Oddałem to wszystko w ręce Boga i przełożonych.

Pojechałem więc ze Stradomia do Warszawy pociągiem. Miałem już ze sobą tę pewność, że Bóg jest ze mną, za moimi plecami. W Warszawie spędziliśmy Nowy Rok. Następnego dnia, raniutko pośpieszyliśmy na pociąg trans syberyjski. Żegnał nas na dworcu kolejowym ks. proboszcz Lorek, późniejszy biskup. Żegnał nas też ks. Konstanty Witaszek, dyrektor Sióstr, który potem też wyjechał na misję do Chin, na stare lata, ale później wrócił do Polski. Więc wsiedliśmy w ten tras syberyjski pociąg, który zaczynał swoją trasę w Paryżu, a kończył aż we Władywostoku. Pociąg międzynarodowy, luksusowy. Dostaliśmy wagony carskie, skonstruowane przez polskiego inżyniera. W drodze z Polski do Moskwy poznaliśmy pewnego urzędnika, który jechał do ambasady polskiej w Moskwie. To nam się ogromnie przydało. W Moskwie musieliśmy czekać na zmianę pociągu z naszej polskiej linii na północny dworzec. To wymagało kilkunastu godzin. Mieliśmy czas. Dzięki temu urzędnikowi zwiedziliśmy Moskwę. Między innymi Pałac Kremłowski. Sam Kreml naprawdę ma imponujący widok. Najbardziej rzucają się w oczy wieże cerkwi, które są na Kremlu. Złociste wieże, różnego rodzaju, błyszczące się w słońcu. Ach! Piękny widok! Nie widać tyle domów, co widać właśnie te wieże. I to jakoś dziwnie podnosi człowieka na duchu. Brama do Kremla jest zawsze zamknięta. Za nami jechała jakaś czarna długa limuzyna. Podniosły się kraty tej bramy, limuzyna wjechała i zaraz kraty się opuściły. Nieopodal Kremla jest cerkiew św. Bazylego. Cudo architektury bizantyjskiej. Każda kopuła, chociaż ma kształt cebulasty jest inna, ma inne linie, nieco inny kształt. Cudo! Tą cerkiew przerobiono na muzeum. Zwiedzaliśmy to muzeum wewnątrz.

Było to rano. Ludzie na ulicach Moskwy śpieszyli do pracy jakoś milcząco. Było dużo ludzi. Nikt ze sobą nie rozmawiał. Nie szli grupkami, tylko każdy jakoś osobno. Dziwna rzecz, która nas uderzyła, nawet rano przed kinami stały ogonki, zwłaszcza młodzieży. W sklepach nie brakowało rzeczy. Każdy artykuł w tym sklepie miał karteczkę z ceną. Nikt nie namawiał i nie zachęcał do kupienia czegoś. Nikt nie zachwalał towaru. Ten pan urzędnik zaprowadził nas do sklepu z perskimi dywanami. Wspaniałe perskie dywany duże i małe. Nikt nie zachwalał. Jest cena. Chcesz to bierz dywan i płać cenę jaka jest wypisana na karteczce.

Wieczorem zajechaliśmy na dworzec północny. Ale gdyśmy opuścili ambasadę, a tam spędziliśmy noc, zaopatrzone nas w bardzo ważne artykuły, zwłaszcza żywnościowe. Była tam wędzona ryba – bardzo smaczna, sery i jakieś inne frykasy oraz ruble na zamianę. Tej żywności w drodze nie było nam potrzeba, bo w cenę biletu były wliczone posiłki w pociągu. Dziwiło nas wszystkich, że w podróży przez Syberię tak nas futrują. Rano mieliśmy pomarańcze i inne owoce południowe. W południe mięso, itd. Wszystko pierwsza klasa. Tylko wódka była za pieniądze, ale tego tośmy nie kupowali. Więc zdziwiłem się nawet i to zdziwienie okazałem naszemu konduktorowi pociągu. Mówię mu więc, że się dziwię, że mają tyle południowych owoców. A on mi odpowiedział, że to są wszystko rosyjskie rzeczy: „*My Rosjanie mamy klimat wszelki. Od arktycznego klimatu do południowych owoców*”.

Ale nim jeszcze wsiedliśmy do swojego pociągu i czekaliśmy na dworcu w sam raz z Ukrainy nadjechał pociąg z wieśniakami. Gdy jeszcze pociąg nie stanął na stacji, ci ludzie wyskakowali z pociągu i biegli na ulicę z okrzykiem: „*Chleba! Chleba!*”



波兰在中国遣使使命

Chleba!”. Głód na Ukrainie, która była spichrzem prawie całego świata. Więc gdy tylko ta czern wyległa na ulicę w jednej chwili sklepikarze spuszczały żelazne bramy i zamykali kłódki, bo bali się rabunków. Co potem z tymi ludźmi się stało, tego nie wiem.

Czekaliśmy jeszcze jakiś czas na dworcu. Spacerowaliśmy sobie. W jednym miejscu widzę, że siedzi na ławce dwoje ludzi. On i ona. On taki poważny, dostojny. Ona staruszka, już trochę przygarbiona. W pewnym momencie wyjęła z tobołka kawałek czarnego chleba i chciała go ugryźć. Nie mogła... Twardy chleb, czarny chleb. Podeszła do samowara i nalała sobie do blaszanego garnuszka wrzącej wody. Usiadła i maczała chleb w wodzie i ponownie chciała go ugryźć. Nie dało się... I zaczęła płakać.

Gdyśmy jechali przez Syberię i żywili nas tak luksusowo – ja zapytałem tego komendanta pociągu i mówię mu: – Panie komendancie, jak to jest. Ty sobie jesz tutaj bardzo dobrze, ja widzę, że ty pijesz herbatę, przygryzasz czekoladę. My nie możemy wcale narzekać na kuchnię, wy nad wyraz żywiecie bardzo dobrze, ale dlaczego ta staruszka na dworcu kolejowym w Moskwie gryzła ten czarny chleb, maczała w gorącej wodzie i nie mogła go ukąsić. On mi odpowiada:

– To są ludzie bezużyteczni dla państwa. To są ludzie starzy, już nieproduktywni. Oni jedzą chleb niezastąpienie. Ten chleb należy do robotnika, a nie do starych ludzi.

Więc ja się pytam:

– A czy masz matkę?

– Mam.

– A jak matka się zestarzeje, to co?

– Tak samo. Jak jest nieproduktywna, to jest nieużyteczna dla społeczeństwa.

No i jeszcze nas pan konduktor pouczał na czym polega polityka rosyjska. Trochę śmiało (...). Tego też nie zapomniałem.

W drodze przez Rosję, za Uralem jest piękne miasto Swierdłowsk, (dopiero było co zamianowane), marmury, marmury, marmury... Kupiliśmy sobie tam pamiątkę, takiego niedźwiadka. Ja położyłem go do mojej walizki, a mój kolega przez nieostrożność tę walizkę zwałił i ten biały, marmurowy niedźwiadek rozbił flaszeczkę z jodyną, no i stał się szarym. To jeszcze nie koniec. Parę kropel tej jodiny padło na koc; który był tam w pociągu. Więc ten, który usługiwał nam: „*Niczewo, niczewo, zapomnijcie*”. Dobrze. Kiedyśmy jednak opuszczali granice rosyjskie, to ten pan przyszedł do nas i zażądał odszkodowania za te parę kropel jodiny która zniszczyła koc. On myślał, że my będziemy płacić tę karę w dolarach. A wtedy nam mówili, że jeden rubel równa się dolarowi. Więc mieliśmy zapłacić karę dwudziestu rubli. Widzieli, że my rublami nie operowaliśmy, więc myśleli, że ja wyciągnę milcząco dwadzieścia dolarów i dam mu. Tymczasem ja wyciągam mu dwudziestorublowkę, którą otrzymałem od nas z ambasady. Jak ten się wściekł. Wziął. Ale nawet na pożegnanie nie podał ręki. Ale tenże człowiek jednak w pewnym momencie, naprawdę wprowadził nas w zdumienie. Jechaliśmy przez Rosję jako cywile. Owszem mieliśmy brewiarz no i ten brewiarz mówiliśmy jak się dało, bo nie było nic do roboty, tylko patrzeć się na śnieg i tajgę, i jechać. Więc pewnego razu odmawiając brewiarz, wypadł mi z brewiarza obrazek, którego nie zauważyłem. Ten obrazek był w formie tryptyku. Na drugi dzień rano wracamy ze śniadania do naszego przedziału i widzimy, że przed oknem na naszym stoliku, ten obrazek jest otwarty, jak do modlitwy. Więc czy będzie kłopot, czy nie będzie kłopotu? Ale ten służący, starzec, który się chwalił, że Polskę zna itd., nie robił żadnych uwag z tego powodu. Ale pewnego razu, gdy byliśmy sami, tośmy go przyskrzynili do ściany:



波兰在中国遣使使命

- Powiedz nam Starik, czy ty wierzysz w Pana Boga?
On się trochę zażenował i patrzy się na około, wychylił głowę za drzwi, czy ktoś nie posłucha je, zamknął drzwi i mówi:
– Tak, ja wierzę w Pana Boga, my wszyscy wierzymy w Pana Boga.

A dowodem tego było, że tak pięknie ułożył ten obrazek na stoliku. To też nas podniosło na duchu ogromnie.

Pasażerami tego pociągu było zbiorowisko ludzi. Owszem, było dwóch Polaków, którzy jechali z Warszawy do Charbina, do konsulatu na placówkę polityczną. Oni tak zanadto z nami nie wdawali się w rozmowę. Był Francuz, wesoły człowiek. Był poważny Anglik, który nas uczył jak się je stek. Mówi: „*Stek, który jest czerwony, który jeszcze krwawi, on jest najlepszy, a nie ten przypieczony, to już jest spalony*”. Więc braliśmy według jego życzenia ten stek prawie, że na żywo. I rzeczywiście jest nie tylko smaczny, ale i pożywniejszy od tego przypieczonego.

Była też jedna Greczynka, nauczycielka, która jechała gdzieś tam na Sybir. No i była też Rosjanka, Tatiana, żona jakiegoś urzędnika, która jechała na Sybir do Irkucka, i miała ze sobą koszyk jaj, sery i prowiant. Więc my jej powiadamy:

– Tatiana, toć ty wlewasz wodę do studni. Ty wiesz prowianty na wieś. Przecież to wszystko przyszło ze wsi. A ona mówi:

– A wy to nie rozumiecie. Wszystko idzie do Moskwy i w Moskwie jest wszystko. Jak chcemy żyć, to musimy jechać do Moskwy i z Moskwy wywozić na wieś, dlatego mam koszyk jaj i innych prowiantów.

Jechał również z nami inżynier Rosjanin z Hamburga, po swoich studiach. Pod koniec podróży myśmy go tak raz przyskrzynili do ściany mówiąc:

– Panie, my się dziwimy, że pan jako inżynier wraca z Hamburga, z kraju wolnego, na Sybir. A on mówi tak:

– Nie wróciłbym, gdybym nie miał kochanej żony i jej dobrej matki. I rzeczywiście. W Irkucku ona wyjechała po niego autem. Piękną limuzyną. Więc ja się zdziwiłem i pytam się:

– Jak to?

– Mój mąż jest inżynierem, my mamy wszystko. Z wyjątkiem jednego: Nie wiemy co będzie jutro. Dzisiaj w nocy aresztowali nam kapłana. Ostatniego. Nie wiemy co będzie jutro.

Dałem jej parę medalików i ciastek dla jej matki, bo to z Warszawy. Wkrótce nas pożegnała. Nie chciała się narażać na podejrzenie, że długo z nami rozmawia.

Tajga. Las rzadki. Drzewa nie grubsze od ramienia, rzadkie. A mróz na tej Syberii! Naprawdę syberyjski mróz. Nie wolno się dotknąć gołą ręką klamki czy jakiegoś żelaza, bo przylgnie i ze skórą się odrywa. A kiedy w mróz siarczysty spluniesz to już na ziemi jest gałka lodu. Śnieżyce były często, więc podobno 2.000 robotników przed nami odgarniało śnieg z drogi. Stawaliśmy normalnie na stacjach wyznaczonych w programie. To wtedy na tych stacjach było pusto. Nie było nikogo. Ale czasem musieliśmy stawać na stacjach, z powodu zasp, nie przewidzianych w programie. Więc, gdy się zatrzymywaliśmy, wypędzano ludzi ze stacji za balustradę, która okalała tę stację. Więc my widząc ludzi tam zblizaliśmy się do nich, żeby parę słów zamienić. Dawali nam znaki, żeby się do nich nie zbliżać, ani do nich nie przemawiać. Boją się obcokrajowców – ja nie wiem – jak szatana czy co? Nie wolno się komunikować z kim innym spoza rodziny.



波兰在中国遣使使命

Bajkał. Czytałem, że Bajkał to jest jedyne jezioro-morze, które nie zamarza w zimie. Chciałem sprawdzić, a tutaj żołnierz, gdzieś tam z boku, krzyczy na mnie: „Stój! Zawracaj!” Stałem. Wziąłem kamienia i tylko rzuciłem w stronę wody Bajkału. Żadnego plusku. Bajkał zamarza. I tu tak zamarza woda, że w czasie wojny japońsko-rosyjskiej, dla sprowadzenia linii pociągowej przez Bajkał szły szyny po lodzie. A Bajkał to skarb dla Rosji. Tam właśnie są te ryby, któreśmy tak smacznie zajadali. A jak wkraczaliśmy do Rosji, to nas ostrzegali, byśmy nie przykładali nosa do szyb okiennych; czyli nie przyglądali się zanadto zwłaszcza przyczółkom mostowym. Rzeczywiście. Na każdym przyczółku stoją żołnierze gotowi do strzału. Ostro było. Ale nas jako pasażerów nie obchodziło, ani nas nikt nie molestował wcale. Jechaliśmy jedenaście dni. Mieliśmy jechać dziewięć dni przez Rosję. Spóźniliśmy się o trzy dni na połączenie na granicy Mandżursko-Chińsko-Rosyjskiej. Pociąg już odszedł trzy dni temu. Mieliśmy czekać na następne połączenie za dwa dni. Mieliśmy wobec tego dwa dni czasu. Nasz pociąg odstawiono na boczne tory. Pewnego popołudnia postanowiliśmy się wybrać w góry na przechadzkę. Bo jak się kończy Syberia to kończą się śniegi, kończy się las. Kraj Mandżurów to gołe wzniesienia porośnięte tylko trawą, bez żadnych drzew. Klimat kontynentalny. Mało opadów śnieżnych, nawet krzew nie może tam rosnąć. Ale na tych wzgórzach, w mieście pogranicznym, które się nazywa Otpor, nas zainteresowały jakieś okrągłe plamy na wyniesieniach. Wykombinowaliśmy sobie w naszych młodzieńczych fantazjach, że to są źródła naftowe. Więc wybieramy się na odkrycie źródeł naftowych w Mandżurii. Nie wiedzieliśmy, że jest to okolica nawiedzana przez bandytów i nie wiedzieliśmy drugiej rzeczy, że tam słońce zachodzi szybko. Jak wracaliśmy z powrotem drogą, dochodzącą do miasta już nas zaskoczyła noc. Wielkie ulice i wejścia do miasta zostały zabarykadowane kolczastym drutem i cierniami. Wic co robić? Krzyczymy, wołamy jak się tylko da, żeby nam otworzyli. Nikt się nie rusza. Ale ci dwaj Polacy, którzy jechali z nami do Charbina zauważyli, że nas brakuje. Wszczęli alarm. Potem policja otworzyła nam bramy i weszliśmy do naszego przedziału. Potem trzymaliśmy się pociągu i nie odchodziliśmy daleko, bo nawet jednego z nas Mandżurzy uważali za bandytę. Ciągłe powtarzali „Hu-hus, Hu-hus”. A „Hu-hus” to jest czerwona broda. A mój kolega miał w sam raz czerwoną brodę. Tylko, że miał czapę rosyjską, miał futro polskie z barankiem, a więc nie wyglądał na bandytę. Ale go nazwali „Hu-hus” – bandyta.

Więc tak odczekaliśmy te dwa dni. Ale to były może szczęśliwe dni, bo w tym miejscu włączył się do naszej grupy Japończyk, który jechał z powrotem w stronę Japonii. I okazało się, że to jest katolik. I on nam oddał później ogromne usługi. My, „biedni misjonarze”, mieliśmy ze sobą trzynaście walizek i paczuszki. Zatrzymaliśmy się w Charbinie na parę godzin, żeby odwiedzić sławną polską misję z ks. prałatem, czy infułatem Piotrowskim na czele. Odwiedziliśmy go. Na biurku miał trupa głowę naturalnej wielkości. I tam w Charbinie, pierwszy raz w życiu jechaliśmy riksami. Człowiek między dwoma dyszlami ciągnie dwukołowy wózek, a ty sobie siedzisz. Więc jak siedziałem na tej rikszy, ale tylko na brzegu tej rikszy, bo mi wstyd było, że człowiek jak zwierzę ciągnie. To było takie pierwsze uczucie. Potem się okazało, jak mi wytłumaczyli misjonarze w Pekinie, że jeżeli ciągnie się riksę, to ksiądz uczyni dobry czyn. Ci ludzie żyją tylko z tego. Jak ksiądz go nie najmie, to on może tego dnia nie będzie miał okazji na zarobek. Jak ksiądz go najmie, on sobie coś zarobi i będzie miał przynajmniej na utrzymanie rodziny. To tak na to trzeba patrzeć. Jak wsiedliśmy potem na riksę to już bez tego uczucia upokorzenia, że to człowiek ciągnie człowieka.



波兰在中国遣使使命

W Charbinie nie byliśmy długo. Następną stacją był Mugden. Tam trzeba zmienić pociąg. Więc ten Japończyk był naszym zbawieniem. Zwołał kulisów, spakował nasze pakunki na dwie riksze, nas wsadził na drugie dwie riksze i zawiózł na odpowiedni peron, gdzie zmieniliśmy pociąg. Dopilnował, żeby wszystkie paczki zostały wyładowane i załadowane do pociągu i wtedy nas pożegnał. A myśmy go błogosławili, bo bez jego pomocy nie wiem, czy uratowaliśmy jedną walizkę. Tak wszystko goni, tak wszystko krzyczy, nie sposób żebyśmy się uratowali jakoś. Ale Aniołowie Stróżowie czuwali nad nami naprawdę, ach naprawdę.

Potem z Mandżurii pojechaliśmy do Chin. Przekraczamy Mur Chiński. To była druga godzina po południu. Któregoś dnia, już dokładnie nie wiem, stacja gdzie mieliśmy wysiąść to była Tien-cin. Tam już byli Francuzi. Misja francuska. Księża Misjonarze. Wyszedł na nasze spotkanie braciszek z Prokury. Był w chińskim ubraniu, z bródką. Myśmy go nie poznali, ani on nas, bośmy byli po cywilnemu. Wreszcie natknęliśmy się na niego, on jest „Lazariste”, i że przyszedł by nas zabrać do Prokury. Tam spędziliśmy pierwszą noc w Chinach. Na drugi dzień wyciągnąłem sutannę z walizki. Pomięta, ale sutanna. Odprawiłem pierwszą mszę na ziemi chińskiej. A było to 17 stycznia roku 1935. Zwiedzaliśmy jeden dzień Tien-cin i pojechaliśmy do Pekinu pociągiem. Gdyśmy wysiedli w Pekinie z pociągu na Plac Pekijski – co za duma człowieka ogarniała. Wspaniałe chińskie budowle, bramy na ulicach. Riksze, riksze, riksze! Był tam też braciszek i ksiądz chiński, zabrał nas do Prokury, do Francuzów. Tam zamieszkaliśmy zdaje się trzy dni. Na drugi dzień była niedziela, więc idziemy do kościoła na mszę św. I co za dziwo! Te chińskie dzieci, które były na mszy św. śpiewały Kyrie, Gloria i Credo tak samo jak na Stradomiu. Myślę sobie: to teraz rozumiem; że Kościół św., jest Kościołem powszechnym. Wszędzie ta sama wiara, wszędzie ta sama msza św.

Zwiedzaliśmy potem Pekin. Pałac cesarzy, zabytki, muzea, cuda sztuki chińskiej, rzeźby w marmurze, z kości słoniowej w alabastrze. Cuda! Ale nam było spieszno do naszej misji w Shun-Teh-Fu. Wsiadliśmy w pociąg i wyładowaliśmy w Shun-Teh-Fu w dniu św. Agnieszki 21 stycznia 1935 roku.

Na stacji kolejowej już czekał na nas biskup Ignacy Krauze, był też ks. Szuniewicz i braciszek. Spakowali nasze bagaże na riksze i pojechaliśmy do naszej misji w górach, w Shun-Ten-Fu. Dojechaliśmy szczęśliwie. Wnet był Nowy Rok chiński. Przychodzili Chińczycy do nas, kłaniali się, klękali, prosili o błogosławieństwo, a myśmy im rozdawali medaliki, albo orzeszki ziemne, bo taki jest zwyczaj, że oni przychodzą do księży z powinszowaniami, pokłonami za to otrzymują jakąś nagrodę.

Więc pierwsza rzecz: zabrać się do języka chińskiego. Dali nam do nauki nauczyciela – katechistę, ale okazało się, że ta nauka języka chińskiego w Shun-Teh-Fu między swoimi, nie postępuje dosyć szybko. Więc przełożeni zdecydowali, by odesłać nas do Pekinu, do szkoły gdzie nas będzie uczył Chińczyk, i tylko do nas będzie mówił po chińsku. Pojechaliśmy do Pekinu. Zamieszkaliśmy w seminarium. Mieszkaliśmy z Holendrami. Belgami, Francuzami. Jeździliśmy z nimi na wycieczki co czwartek. To byli misjonarze – lazaryści, oni prowadzili to seminarium. Nasz profesor, nauczyciel, stary Chińczyk nie znał żadnego języka poza chińskim. Więc cała nauka polegała na jego rozmowie, jego gestach. Wnet odkryliśmy, że gesty nasze zachodnie, a chińskie są wielce różne. On nas zaczął uczyć od ABC. Myśleliśmy, że jeżeli on pokazuje na nos, to znaczy „nos”. Przekonaliśmy się potem, że to nie może znaczyć „nos”, tylko „ja”, bo okazało się, że oni jak mówią „ja”, to wskazują na nos, a jak mówią o rozumie, to wskazują na brzuch. W brzuchu jest



波兰在中国遣使使命

rozum. Stąd ci, którzy mają duże brzuchy, ci są mądrzy. Bożki chińskie są wszystkie z wielkimi brzuchami i tłuste. W ich niebie jest dobrze, ich Pan Bóg jest dobry. Natomiast poganie nie bardzo przyjmują naszych świętych, wychudzonych, umartwionych: to im się nie podoba.

– To wasz Pan Bóg, zdaje się, nie dba o waszych świętych, skoro oni tacy wychudzeni, tacy chudzi.

Nie rozumieli. Ich filozofią jest: jeść, jeść i spać, spać i jeść, i nic nie robić. To jest ideał! I tak jest w niebie. Tam mają wszystko do jedzenia, i mają brzuchy grube, i są tłusci, jak ich bożkowie; z wyjątkiem tych co są w piekle, to są chudzi, bardzo chudzi.

No więc szybko pojmowaliśmy język chiński dzięki temu, że musieliśmy skoncentrować całą uwagę; co on do nas mówi i co on chce nam powiedzieć. Uczyliśmy się nie tylko języka ale i zwyczajów chińskich, na przykład: mówią nam, żeby nigdy nie jeść ryżu do syta, bo inaczej dostaje się niestrawności. Mój proboszcz w południowych Chinach tak zniechęcił ryż, że nie mógł na ryż nawet się popatrzeć, nie mógł znieść zapachu ryżu; dlatego, że raz był strasznie głodny i najadł się ryżu do syta i dostał takiej niestrawności i obrzydzenia do ryżu, że tego na całe życie nie zapomniał. A dlaczego tak jest? Bo Chińczycy nie gotują ryżu. Tam gotować ryż to jest wielka strata. Oni ryż grzeją na małej ilości wody i ta woda ma wyparować, aż ryż jest półsurowy, i taki trzyma się pod pokrywką, i on tam pęcznieje, nabiera wartości odżywczych, i taki ryż się je. Półsurowy! Oczywiście, jak się najesz takiego ryżu półsurowego, on ci dopiero w żołądku pęcznieje.

Skoro zacząłem od ryżu, niech już dalej powiem o tej kuchni chińskiej. Gdyśmy przyjechali do Chin biskup nam z góry powiedział:

– Misjonarze! My musimy się przyzwyczaić do chińskiej kuchni, bo nas nie stać na utrzymanie kuchni w stylu europejskim czy polskim.

Przed nami byli Portugalczycy, mieli pieniądze. Przed nami byli Francuzi, rząd im pomagał, mieli pieniądze. Jedli to, co im smakowało, według kuchni stylu francuskiego. Wyjeżdżali na wizytacje swoich kaplic i ludzi, brali ze sobą chleb i konserwy i sami się utrzymywali. Chrześcijanie tylko patrzyli jak oni jedzą frykasy europejskie i cieszyli się, że nie muszą pomagać w utrzymaniu misjonarzowi, ale jeszcze posmakować co on tam zostawił. Więc jak przyjechaliśmy, to biskup mówi:

– Musimy przyzwyczaić ludzi, naszych chrześcijan, do ofiarności, przynajmniej o tyle, że dadzą misjonarzowi utrzymanie, jedzenie. Nie brać ze sobą chleba, ani różnych konserw, takich czy owakich, niech oni was żywią i utrzymują, bo tam nie ma składek, ale niech przynajmniej tyle zrobią.

To był problem, w ogóle był problem z kuchnią chińską, bo kuchnia chińska istnieje na olejach roślinnych, a nie na olejach zwierzęcych. To wszystko robi się tam na olejach roślinnych. Oleje roślinne, gdy się smażą wydają mdły zapach, że niektórych księży młodych, wprost ten zapach do wściekłości doprowadzał. Niektórzy musieli z tego powodu wrócić do Polski. Nie mogli absolutnie znieść kuchni chińskiej, tego zapachu.

Ja wiedząc, że przyszedłem spełnić tu wolę Bożą, a nie swoją i wolę przełożonych, powiedziałem sobie, że trzeba się przyzwyczaić. Pewnego razu, wyjechawszy na wizytację chrześcijan w górach, nie zabrałem ze sobą chleba ani czego innego, żeby się samemu zmusić do tego co oni jedzą. Według nich, Chińczyków, najlepszym jedzeniem są kluski pszenne. Tam jest pszenica, tylko ja



波兰在中国遣使使命

widziałem jak oni tę pszenicę mielą na mąkę. Nie ma takich żaren jak u nas. Tam jest okrągły kamień, i po tym kamieniu obraca się wał, i ten wał gniecie tę pszenicę i wygniata mąkę, a oni przesiewają to na sitku i ciągle dokładają, tak, żeby to była coraz lepsza mąka. To jest na otwartym miejscu, na polu, a w Chinach często gęsto są wiatry, więc ten osiołek czy wół, który kamień ciągnie, jak idzie, no to wznosi proch z gnojem na tę mąkę. Ja to widziałem i myślę: jak to można jeść? No i tu mi przynoszą miskę klusek ugotowanych na wodzie czystej. Próbuję to jeść, trzeszczy w zębach piasek i przypomina mi się to łajno ośle. Zniknął apetyt. Tak było po każdym daniu. Trzeciego dnia dostałem takiego bólu głowy z głodu, że coś przez siłę zjadłem. Wróciłem do domu z przekonaniem, że ciężko będzie się przyzwyczaić do kuchni chińskiej. Drugim takim pożywieniem, które Chińczycy mają, to jest kasza jaglana. Ona jest wiele pożywniejsza od naszej polskiej kaszy, chociaż w wyglądzie podobna. Oni gotują tę kaszę na wodzie i z tą polewką ci podają. To jest mdłe. Raz ze złości powiedziałem Chińczykom:

– To moja matka jak żywiła prosięta to do kaszy mleka dolewała, a wy nawet mleka nie macie.

Nie ma mleka. Krowy są, ale tylko do roboty, a nie do mleka. Po cielęciu krowy przestają dawać mleko. Chińczycy nie znają mleka, dzieci też nie piją mleka, z wyjątkiem mleka z piersi matki.

Tak się złożyło, że nawróciłem się do tej kaszy. Jechałem na wezwanie biskupa, rowerem cały dzień, a byłem zmęczony, okropnie spocony i spragniony, głodny jak wilk. Jadę przez te pola chińskie, tam ludzie nawadniali zboże wodą ze studni, ale żaden Chińczyk nie odważyłby się napić wody zimnej ze studni, bo to zaraz cholera. Najwyżej wypłucze sobie usta i wypluje. Nawet nie pozwolili mi zbliżyć się do tej wody. Dojeżdżam już do Shun-Teh-Fu, widzę to miasto, mury jego, ale mi się już kółka czarne robią w oczach. Muszę coś przełknąć, bo inaczej padnę. Tak stało się raz z biskupem – padł. No więc siedzi na progu domu starzec i pije polewkę. Pytam go:

– Macie wodę?

– O, już po kolacji, wszystkie nasze kotły są wyczyszczone, ogień pogaszony, nie mamy kropli wody gotowanej.

Więc ten starzec, uprzejmy Chińczyk, poganin, odrywa od ust miskę tej polewki i mi podaje. Samorzutnie zacząłem to pić i jednym duszkiem wypilem wszystko. I z tą chwilą świat się rozweselił. Znikły te czarne kółka przed oczami, no i pytam:

– Macie jeszcze więcej?

– Już nie ma.

Dojechałem do miasta o tej polewce.

Chińczyk nie pije wody zimnej, surowej. Zawsze pije wodę gotowaną. I tu jest problem podwójny. Najpierw: w północnych Chinach jest klimat kontynentalny i brak jest wody. Czasem ludzie muszą iść daleko, daleko i nosić na ramionach. Nigdy nie piją na surowo, tylko muszą przegotować. W Chinach, gdzie nie ma lasów, nie ma drzew, jest problem jak tę wodę zagotować. Jako opału używają słomy, trawy, czy też badyli sorgo, te dają dużo ciepła. Zagotowaną wodę dadzą w miseczce bez uszka, trzeba dwoma rękami trzymać i pić taką gorącą wodę. I to się nazywa po chińsku herbata! Rzeczywiście Chińczycy rozumieją to co Pan Jezus powiedział, że za kubek wody człowiek nie straci nagrody. On tę wodę musi przynieść z daleka, musi szukać opału. Bogatsi mają węgiel.



波兰在中国遣使使命

Nauczyłem się jeść kaszę. Daje rzeczywiście dużo energii, chociaż ta polewka jest mdła. Dla dodania smaku jedzą kaszę z kawałkami solonej rzepy zaprawionej sosem.

Problem wody, to bardzo ważny problem w Chinach. Biorą wodę ze studni, czasami muszą głęboko bić. Najczęściej wodę chwytają z deszczu. Zbierają wodę deszczową, która płynie po dachach, po ulicach. Chwytają tę wodę w cysterny, pod ziemią. Woda, która płynie z ulic jest brudna, ale ona potem stoi w cysternach przez całe miesiące pory deszczowej i staje się czysta, brudy, opadają. Ludzie jednak muszą ją gotować. W południowych Chinach wody jest dużo, ale i tam piją wodę przegotowaną.

Jest jeszcze jeden problem z olejami roślinnymi. Są mdłe. Nauczyłem się je jeść, niektóre oleje przez przypadek. Z ziaren roślinnych, prasowanych, wypływa czarny olej. Używa się go do świecenia. Przy kaganku czyta się książki wieczorami, odmawia brewiarz. Ten olej jest smaczny, ale odrażająco czarny. Razu pewnego jadłem kolację pod drzewem. Podano mi pewną jarzynę, rodzaj ogórka, zaprawioną na tym oleju czarnym. To mi bardzo smakowało. Było ciemno, nie widziałem jak to wygląda, może bym nie jadł, gdybym to widział. Na drugi dzień dowiedziałem się, że to było na czarnym oleju. Potem już przestałem się tego bać, więc jak czasami ludzie nie mieli lepszego oleju, to mówiłem, żeby dali mi ten czarny. Gdy smażyli jajecznicę na czarnym oleju, to rzeczywiście trzeba mieć zaparcie, żeby tę czarną jajecznicę jeść. Prócz tego oni tam nie mają takich pieców jak u nas, tylko smażą i gotują wszystko w kociołkach, na otwartym polu. Często ogień pryska i resztki popiołu padają do jajecznicy, ale trzeba jeść. Problem z jedzeniem to był niekończący się problem. Normalnie w naszych misjach mieliśmy jednak kucharza, który umiał piec europejski chleb. Pewnie, że Chińczycy mają pszenne bułeczki na parze robione, są smaczne, tylko, że piasek trzeszczy w zębach. Żeby się oszukać kroiliśmy bułeczki na plasterki i przypalali. Myśleliśmy, że trzeszczy ten przypalony kawałek, a nie piasek. Całe szczęście, że w Chinach są kury i jajka. I to było nasze zbawienie. Nauczyłem się jajka pić na surowo. Na początek to obrzydliwie wygląda i niesmacznie, ale jak się człowiek przekonuje, że to daje dużo energii i sił, to wtedy robi dwie dziurki w jajku, zamyka się oczy i wypija się. Raz wypilem 18 jajek, z czego śmiali się moi konfratry, że jestem żarłokiem. No, ale człowiek był głodny. Z mięsa najlepsze było kurze mięso, ale tam kur za dużo nie ma, bo sami Chińczycy są biedni; to też kura jest mała i chuda, i oni niechętnie zabijają kurę, bo zawsze daje jakieś jajko. Więc mięsem najczęstszym jest wieprzowina. Wieprz jest czarny i ma gęstą sierść. Hodowlę białych świń zaczęliśmy później wprowadzać. To mięso nie jest łykowate, ale twarde. Kroi się na małe kawałeczki i tak się je pałeczkami. Jadło się tylko pałeczkami, i to ciekawa rzecz, że pałeczki są o wiele, o wiele praktyczniejsze od naszego widelca. Można nawet jedno ziarnko ryżu zabrać, włożyć do ust, a widelcem ucieka. Innym mięsem, które było czasami na rynku, to było mięso kozie albo baranie. Ludzie na wsiach radzili nie kupować nigdy tego mięsa w jatkach, bo to była padlina. Mięsa wołowego bardzo mało, bardzo mało, bo nie ma czym uchować tej krowy, tego wołu. Jeżeli mają krowę lub woła, to jako pociągową siłę. Mięso wołowe jest wtedy, gdy zwierzę zachoruje lub zestarzeje się. Mimo tych kłopotów z jedzeniem, żyliśmy jakoś.

Mieszkanie. Mieszkaliśmy po chińsku. Rzadko mieliśmy okna ze szyb. W głównych misjach mieliśmy szyby w oknach i drzwi na zawiasach jak normalnie. Chińskie domy mają zamiast szyb papier, a drzwi na prymitywnych zawiasach, gdzie wiatr wieje, i słońce prześwieca przez szpary.



波兰在中国遣使使命

Ubranie. Nosiliśmy się zupełnie po chińsku. Chiński strój na tamtejszy klimat jest bardzo praktyczny. Ma szerokie spodnie, szerokie szaty zewnętrzne, podobne do sutanny, rozcięte po bokach. Koszule chińskie, bez guzików, są praktyczne na lato i w zimie. W zimie chodziliśmy w watówkach, w lecie w płóciennym ubraniu, albo z surowego jedwabiu; ubranie lekkie i białe.

Z językiem nie było wiele trudności. Nam, Polakom język chiński przychodził bardzo łatwo. Najłatwiej podchodzi Węgrom. Oni mają jakiś specjalny dar do języka chińskiego, a w drugiej kolejności idą ludy słowiańskie, bo my mamy spółgłoski, dwugłoski, więc możemy ten język wykręcać i dostosowywać się do tonu i do wymowy. Byliśmy tylko sześć miesięcy w Pekinie na nauce języka chińskiego i po sześciu miesiącach nas odwołano do roboty. Po tych sześciu miesiącach już mogliśmy głosić kazania. Pamiętam, że na drugiego lutego miałem kazanie po chińsku o dobrym przykładzie, który ma być światłem. Mój kolega, ks. Skowyra miał kazanie trochę wcześniej na nawrócenie św. Pawła.
